BIULETYN PRZEWODNICKI 123/2026

ODDZIAŁ KUJAWSKI PTTK WE WŁOCŁAWKU

Zawartość numeru

SŁOWO OD PEŁNIĄCEGO OBOWIĄZKI REDAKTORA (Henryk Wasilewski) 2
PRO MEMORIA… 3
Wanda Pietrzykowska 1939-2026 3
Andrzej Szczepański 1946-2021 3
MOJA POWOJENNA EDUKACJA (Henryk Wawrzyniak) 4
Z JÓZEFEM PIŁSUDSKIM NA POLSKIM GRZEBIENIU (Wojciech Henrykowski/Edmund Płoski) 7
OSTATNIE WYCIECZKI TATRZAŃSKIE MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO 8

Opracowanie redakcyjne - Henryk Wasilewski
Opracowanie graficzne - Ewa Adamczyk
Współpraca: Magdalena Pinter, Andrzej Tyrjan, Arkadiusz Ciechalski
Współpraca honorowa: Krystyna Kuczyńska-Szczepańska, Angelika Kopczyńska
Wydawca - Oddział Kujawski PTTK we Włocławku

BIULETYN PRZEWODNICKI
123/2026

SŁOWO
OD PEŁNIĄCEGO OBOWIĄZKI REDAKTORA

123. numer „Biuletynu Przewodnickiego” zawiera dwie obszerne publikacje: śp. Henryka Wawrzyniaka i Wojciecha Henrykowskiego. Oba teksty, napisane interesująco, znacznie poszerzają naszą wiedzę historyczną i krajoznawczą. Henryk Wawrzyniak wspomina swoją powojenną edukację, swoich nauczycieli i szkolnych kolegów, wśród nich przyszłych luminarzy polskiej kultury – Jana Błońskiego i Konstantego Puzynę. Przypomina sytuację w Polsce w drugiej połowie lat czterdziestych XX wieku, prześladowania patriotycznego podziemia prowadzone przez władze komunistyczne, ale przede wszystkim – aktywną postawę młodych ludzi, takich jak On, którzy w trudnych warunkach z zapałem, poprzez pracę i naukę, budowali przyszłość swoją i swojego kraju. To nie tylko wycieczka w przeszłość, bo pokolenie Autora i tamta powojenna szkoła mogą być w znacznym stopniu wzorcem dla współczesnej młodzieży.

Tekst Wojciecha Henrykowskiego ma – chyba tak można powiedzieć – „szkatułkową” budowę. Przypomina zapomnianą, a przecież tak ważną dla naszego Oddziału postać Edmunda Płoskiego (1859–1942), a jednocześnie, poprzez przytoczenie wspomnień tego prawnika, działacza politycznego i społecznego (także regionalisty i działacza Oddziału Kujawskiego PTK), niejako „odsłania” znany w niewielkim stopniu fragment biografii Józefa Piłsudskiego, z którym Płoski na początku XX wieku wędrował po tatrzańskich szlakach. Znamy Marszałka jako wodza, polityka, ale chyba niewiele wiemy o jego zainteresowaniach turystycznych i jego miłości do Tatr. Na uwagę zasługują komentarze Wojciecha Henrykowskiego (z bibliografią), stanowiące cenne uzupełnienie tekstu Edmunda Płoskiego.

W tym numerze „Biuletynu” przypominamy również zmarłych Przewodników naszego Oddziału – Wandę Pietrzykowską (odeszła 11 maja br.) i Andrzeja Szczepańskiego (gdyby żył, 10 września br. skończyłby 80 lat).

Henryk Wasilewski

PRO MEMORIA...



Wanda Pietrzykowska
1939–2026

11 maja 2026 r. zmarła nasza Koleżanka, śp. Wanda Pietrzykowska z domu Zagrobelna. Zawodowo, aż do emerytury, pracowała jako nauczycielka, uprawnienia przewodnickie otrzymała w 1975 roku, przez wiele lat pełniła funkcję przewodniczącej Koła Przewodników przy Oddziale Kujawskim PTTK we Włocławku, miała też uprawnienia instruktora krajoznawstwa, w latach 2010-2014 była członkiem Kujawsko-Pomorskiego Kolegium Instruktorów Krajoznawstwa. Po przeprowadzeniu się do Bydgoszczy działała w Regionalnym Oddziale PTTK „Szlak Brdy". Z zapałem starała się upowszechniać wiedzę o naszym regionie, brała udział w wielu wydarzeniach turystycznych. Zawsze koleżeńska, taktowna i życzliwa – taką Ją zapamiętamy. Spoczęła w grobie rodzinnym na cmentarzu parafialnym (parafia pw. św. Bartłomieja) w Sępólnie Krajeńskim.

Andrzej Szczepański
1946–2021



10 września przypada osiemdziesiąta rocznica urodzin śp. Andrzeja Szczepańskiego, przewodnika PTTK, twórcy i wieloletniego redaktora „Biuletynu Przewodnickiego", Zasłużonego Instruktora Krajoznawstwa, autora wielu publikacji dotyczących naszego regionu, pomysłodawcy wielu niezapomnianych wycieczek do różnych zakątków Polski. Zmarł 28 stycznia 2021 roku.

BIULETYN PRZEWODNICKI
123/2026

MOJA POWOJENNA EDUKACJA

Dziś, wspominając niespokojne i siermiężne lata powojenne, z największym szacunkiem i podziwem myślę o przedsiębiorczości mojej mamy, która w krótkim czasie po wyzwoleniu kraju założyła w toruńskiej Hali Targowej, mieszczącej się na Rynku Nowomiejskim, stoisko nabiałowe. Miało to miejsce w drugiej połowie 1945 roku. Pamiętam, że wydelegowany przez nią, jeździłem po masło i sery do Rypina i Kruszyn. Starałem się pomagać rodzinie i ulżyć matczynej trudnej doli. Między innymi krótko po wejściu Rosjan chodziłem na lotnisko, by pomagać w usuwaniu z pasów startowych odłamków bomb i pocisków. Było to zajęcie trudne i niebezpieczne. Nieostrożne zbieranie groziło skaleczeniem dłoni na ostrych krawędziach odłamków. Wynagrodzeniem były razowy chleb i pospolita konserwa mięsna. Czynności te przerwałem, gdy 22 lutego 1945 roku rozpoczęły się prace porządkowe w budynku bursy dawnego Gimnazjum Akademickiego przy ulicy Piekary. W czasie okupacji Niemcy trzymali w niej konie. Nic więc dziwnego, ze parter tego budynku przypominał przysłowiową „stajnię Augiasza". Jednak pełni nadziei na dalszą edukację w polskiej szkole, przyszli uczniowie z zapałem usuwali nieczystości, zupełnie zapominając o zmęczeniu. Nie zawiedli się, gdyż począwszy od 10 marca 1945 roku zaczęły się w Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika egzaminy wstępne z matematyki, języka polskiego i biologii. Tuż po ich zakończeniu – 15 marca 1945 roku – miała miejsce mocno opóźniona uroczysta inauguracja roku szkolnego 1944/45. Już następnego dnia rozpoczęła się nauka. Szkołą kierował magister Ryszard Boszko, nauczyciel o wieloletnim stażu i ogromnym doświadczeniu pedagogicznym. Wypada dodać, że w tym samym czasie w Toruniu działały już szkoły podstawowe.

Narrator niniejszej opowieści zdawał do trzeciej klasy gimnazjum i – mimo przeszło pięcioletniej przerwy w pobieraniu nauki w języku polskim – radził sobie w „Koperniku" zupełnie dobrze. Języka polskiego uczył nas w tym czasie profesor o niezwykłej dystynkcji i elegancji. Nazywał się Matuszewski, pochodził z Warszawy i liczył około 40 lat. Pierwszy temat prowadzonej przez niego lekcji brzmiał: „Syntetyczna rekapitulacja materiału nauczania minionych lat". Nie rozumieliśmy obco brzmiących słów „syntetyczna" i „rekapitulacja", jednak nie zraziło to naszego polonisty. Polecił przygotować własne słowniczki, do których mieliśmy wpisywać nieznane wyrazy obcego pochodzenia. W ten sposób – w krótkim czasie – poszerzyliśmy zasób leksyki, co miało duży wpływ na naszą dalszą edukację. Nauka w klasie trzeciej trwała do końca lipca 1945 r.

Klasę czwartą przerabiałem już w normalnym trybie. Tym razem języka polskiego uczyła nas profesor Henryka Białoszycka, ciesząca się opinią wytrawnego pedagoga. Miała ona jednak duże zastrzeżenia do moich umiejętności polonistycznych i nie było w tym nic dziwnego, zważywszy moją okupacyjną przerwę w nauce języka ojczystego. Dodam, że w czasie wojny czytałem prawie wyłącznie książki w języku niemieckim, głównie przygodowe, przeznaczone dla młodzieży, pióra Karola Maya, Fritza Steubera czy Gersteckera. Nie stanowiłem pod tym względem wyjątku. Większość młodych Polaków, mieszkańców woj. pomorskiego, posługiwało się potocznym językiem polskim, okaleczonym licznymi germanizmami. Był to rezultat ostrej polityki germanizacyjnej, prowadzonej przez władze III Rzeszy. Za wykrycie polskich książek w czasie częstych rewizji mieszkań groziła wywózka do obozu koncentracyjnego lub wysiedlenie do Generalnego Gubernatorstwa.

Pierwsze powojenne klasy licealne gromadziły młodzież z różnych regionów Polski, często ze zniszczonej Warszawy. Ponadto w klasach tych występowała duża rozpiętość wieku. Zdarzało się, że obok uczniów 17–19-letnich uczęszczali do szkoły młodzi mężczyźni w wieku 22–24 lat, mający stopnie wojskowe podporuczników i poruczników, zdobyte w szeregach Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych i innych organizacji podziemnych. Należy w tym miejscu podkreślić, że ówczesna młodzież miała bardzo poważny stosunek do nauki. Byli to ludzie przedwcześnie dojrzali, z ambitnymi planami na przyszłość. Czyniłem

wszystko, by im dorównać i to mi się w dużym stopniu udawało. Moje problemy z językiem ojczystym malały z biegiem czasu, ale istniały jeszcze w IV klasie gimnazjum, co potwierdziła wspomniana wyżej prof. H. Białoszycka, zamieszczając pod datą 9 marca 1946 r. w moim zeszycie z wypracowaniami następującą notatkę: „Z treści wypracowań wynika, że pracujesz systematycznie i przerobiony materiał opanowałeś w stopniu dostatecznym. Masz jednak trudności swobodnego wypowiadania się. Aby je pokonać, należy więcej czytać". Dostosowałem się do jej wskazówek i w rezultacie maturę z języka polskiego zdałem już z oceną bardzo dobrą.

Byli w mojej klasie uczniowie, którzy w dorosłym życiu stali się znani lub nawet sławni. Wśród nich w pierwszym rzędzie należy wymienić Jana Błońskiego i Konstantego Puzynę. Pierwszy z nich zasłynął jako krytyk literacki, tłumacz literatury francuskiej i redaktor pisma „Teksty". Z kolei Konstanty Puzyna położył ogromne zasługi jako krytyk teatralny i kierownik literacki Teatru Dramatycznego w Warszawie. Do naszej czwartej klasy gimnazjalnej uczęszczał także młody Janusz Radziwiłł, który zadziwiał kolegów świetną znajomością języka francuskiego i angielskiego. Było to bowiem w zwyczaju, że w dawnych rodach magnackich uczono obu tych języków od czwartego roku życia.

Sięgając wspomnieniami w odległą przeszłość, przypominam sobie niezwykle ciekawe dyskusje, jakie piętnastoletni wówczas Jan Błoński prowadził z profesor Białoszycką. Imponował klasie swoją erudycją i błyskotliwością. Bywało, że to on w opinii klasy miał przewagę nad naszą polonistką. Dotyczyło to głównie dyskusji o charakterze filozoficznym. Uczniowie przysłuchiwali się im z ogromnym zainteresowaniem i niecierpliwie wyczekiwali kolejnej lekcji języka polskiego, a więc kolejnej ciekawej szermierki słownej nauczycielki z uczniem. Z racji bliskości zamieszkania byłem kilka razy u państwa Błońskich w ich domu przy ulicy Moniuszki na Bydgoskim Przedmieściu. Celem tych wizyt było zasięgnięcie opinii pomocnej przy pisaniu wypracowań z języka polskiego. Byłem zaskoczony, że rozmawiało się tam prawie wyłącznie po francusku.

Pewnego dnia, późną jesienią 1945 roku, rozeszła się w Toruniu wiadomość o aresztowaniu członków młodzieżowej organizacji podziemnej pod nazwą „Plumbum - Pb 6". Tego samego dnia do mojej czwartej klasy gimnazjum nie przyszło trzech kolegów, w tym zaprzyjaźniony ze mną Leon Jagielski, z którym dzieliłem ławkę szkolną. Był to syn znanego i cenionego na Starym Mieście stomatologa.

Wkrótce odbyło się posiedzenie Wojskowego Sądu Rejonowego w Bydgoszczy na sesji wyjazdowej w Toruniu. Na ławie oskarżonych zasiadło dziewięciu uczniów w wieku od siedemnastu do dwudziestu kilku lat. Postawiono im zarzut organizowania rozbojów i napadów rabunkowych. Zarzucano im także gromadzenie broni i amunicji oraz „dążenie do obalenia demokratycznego ustroju państwa polskiego". Wyroki Wojskowego Sądu były surowe. Najwyższy z nich – 15 lat więzienia – otrzymał przywódca organizacji – Janusz Majsner, jeden z trzech aresztowanych uczniów klasy IV. Równolegle z wyrokami Wojskowego Sądu Rejonowego ukazał się w miejscowej prasie artykuł pod znamiennym tytułem: „Młody wiek uratował hersztów bandy od kary śmierci". Tak władza ludowa rozprawiała się z młodzieżowymi przeciwnikami ustroju.

Toruńską edukację kontynuowałem w Liceum im. Mikołaja Kopernika w klasie o programie matematyczno-fizycznym. Był to rok szkolny 1946–1947. Obowiązywał tryb semestralny, tzn. w jednym roku szkolnym przerobiłem program pierwszej i drugiej klasy liceum. Nauka w klasach semestralnych odbywała się już we własnym budynku Gimnazjum i Liceum im. M. Kopernika przy ulicy Zaułek Prosowy na starówce toruńskiej. Budynek ten do lata 1946 r. użytkowany był przez Rosjan w charakterze szpitala wojskowego. Klasa liczyła zaledwie 18 uczniów. Wśród nich był Józef Więckowski, późniejszy profesor Politechniki Gdańskiej i wielki działacz społeczny na Wybrzeżu. Jeszcze w Toruniu zasłynął opracowaniem geometrycznego sposobu „trysekcji kąta". Już wtedy dał się poznać jako wybitnie uzdolniony matematyk.

W liceum nie mieliśmy z początku szczęścia do nauczyciela matematyki. Był nim pewien młody

człowiek z Włocławka. Po zaledwie kilku pierwszych lekcjach klasa zdała sobie sprawę, że ten nauczyciel nas matematyki nie nauczy, a wielu kolegów z klasy zamierzało zdawać egzaminy wstępne na politechniki lub inne wyższe szkoły techniczne. W tej sytuacji grupa uczniów, wraz ze mną jako starostą klasy, udała się do dyrektora szkoły – mgra R. Boszko – z prośbą o zmianę nauczyciela matematyki. Nasza argumentacja musiała być bardzo rzeczowa, skoro dyrektor obiecał szybkie załatwienie sprawy.

Nowy matematyk, profesor Maksymilian Bylicki, okazał się świetnym pedagogiem. Przygotował nas do egzaminu maturalnego w sposób wzorowy. Nie przeszkadzało nam, że mówił z silnym akcentem śląskim. Wywołując np. ucznia do tablicy, a nie pamiętając jego nazwiska, mówił, wskazując ręką: *Niech podejdzie „tyn tam z kunta!”*. Ceniliśmy go za jego wybitny talent pedagogiczny.

Bardzo dobrym pedagogiem i wychowawcą okazał się także, pochodzący z Wilna, profesor historii, doktor Mateusz Puciata, który sposobem wykładania i stosunkiem do uczniów zyskał ogromne uznanie i szacunek. Jako jedyny spośród grona nauczycielskiego Liceum im. Mikołaja Kopernika zastosował wobec nas akademicki sposób oceniania. Polegał on na tym, że Profesor wyznaczał każdemu z uczniów osobny, objęty programem nauczania temat do indywidualnego przygotowania i wygłoszenia. Wskazywał przy tym lub udostępniał niezbędne źródła literaturowe. Na opracowanie tematu uczniowie mieli około miesiąca. W ustalonym dniu wygłoszenia referatu profesor zamieniał się miejscem z autorem opracowania. Na czas lekcji referujący swój temat uczeń zajmował więc miejsce za biurkiem profesora. Po skończonej prelekcji prof. Puciata inicjował dyskusję. Było to bardzo kształcące doświadczenie i nas nobilitujące.

Ten system nauczania historii bardzo nam się podobał i niejeden z nas – jak się po latach okazało – z dobrym skutkiem naśladował naszego znakomitego historyka. Profesor Puciata miał ujmujący sposób bycia i był bardzo lubiany. Poza ogromną wiedzą imponował swoją pogodą ducha i kulturą osobistą. Zwracał się do nas wyłączne „per pan”. Zachowaliśmy go na zawsze we wdzięcznej pamięci. Takich pedagogów spotyka się dzisiaj niezwykle rzadko.

Świadectwo dojrzałości I Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Mikołaja Kopernika w Toruniu uzyskałem w dniu 14 czerwca 1947 roku. Spośród szesnastu przedmiotów nauczania z dwunastu otrzymałem notę „bardzo dobry”. Mimo upływu wielu lat jestem przekonany, że toruński „Kopernik” w dużej mierze ukształtował moją świadomość i zadecydował nie tylko o karierze w dorosłym życiu, ale także o życiowych pasjach.

Henryk Wawrzyniak

Włocławek, czerwiec 2019 r.



I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Budynek szkoły widziany od strony północnej (źródło: Wikipedia, Robert Niedźwiedzki - praca własna, CC BY 4.0)

BIULETYN PRZEWODNICKI
123/2026

Z JÓZEFEM PIŁSUDSKIM

NA POLSKIM GRZEBIENIU

Edmund Płoski, 18 lipca 1924 r., decyzją Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Stanisława Wojciechowskiego został mianowany na stanowisko prezesa Sądu Okręgowego we Włocławku. Pomimo pełnienia tej prestiżowej funkcji dość szybko zaangażował się w działalność Kujawskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Co go skłoniło do podjęcia takiej decyzji? On, jako były zesłaniec polityczny, w swoim życiu wiele podróżował, można nawet powiedzieć, że zwiedził pół świata. Ale to nie były podróże krajoznawcze. To nie on wyznaczał trasę, nie on wybierał środki lokomocji, nie on dobierał sobie towarzystwo. Często podróżował w kajdanach, za współtowarzyszy mając najgorszych kryminalistów. Za miejsca noclegów służyły mu nie schroniska turystyczne, ale cele więzień carskich, rozrzuconych na całym obszarze imperium carskiego od Warszawy aż po położony na Dalekim Wschodzie sachaliński Aleksandrowsk.

Po ucieczce z zesłania Edmund Płoski w 1907 r. zamieszkał w Galicji. W dalszym ciągu towarzyszyli mu więźniowie carscy, tylko że tym razem – już byli więźniowie: Józef i Bronisław Piłsudscy. Józefa Piłsudskiego wszyscy w Polsce dobrze znają. Jego brata Bronisława wszyscy dobrze znają w Japonii, bowiem uczą się o nim dzieci w szkołach jako o wybitnym badaczu autochtonicznej ludności wysp japońskich Ajnów.

O Edmundzie Płoskim dziś mało kto pamięta, nawet we Włocławku, gdzie jego działalność doprowadziła do powstania gmachu Muzeum Kujawskiego. *W końcu 1925 r.* — czytamy we „Włocławskim Słowniku Biograficznym” — *stanął na czele Komitetu Budowy Muzeum Kujawskiego i kierował nim do przejścia na emeryturę. Wspierał również budowę gmachu własnymi funduszami. Szczególnie interesowała go sprawa zorganizowania w nim miejskiej biblioteki publicznej o charakterze naukowo-oświatowym, mającej być w jego planach książnicą dla Kujaw wschodnich. Współpracował w tym zakresie z miesięcznikiem „Życie Włocławka i Okolicy”, w którym zamieszczał na ten temat własne artykuły. Sprawie rozwoju badań regionalistycznych, potrzebie budowy gmachu muzeum czy organizacji w nim biblioteki E. W. Płoski poświęcił liczne odczyty i wykłady wygłoszone nie tylko na terenie Włocławka, ale i sąsiednich powiatów […]*. Czy opowiadał na nich także o początkach swoich zainteresowań krajoznawczych? Nie wiem. Nie zachował się na ten temat żaden przekaz ani na łamach ówczesnej włocławskiej prasy, ani w archiwalnej dokumentacji znajdującej się do dziś w zbiorach Kujawskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego we Włocławku.

A skoro tak, to najwyższa pora, aby ten brak uzupełnić i wyjaśnić, dlaczego Płoski w 1924 r. podjął działalność w Kujawskim Oddziale Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Opowie o tym on sam. W 1936 roku, w gazecie „Czas”, Edmund Płoski opublikował osobiste wspomnienia pt. „Ostatnie wycieczki tatrzańskie Marszałka Piłsudskiego”. Relacja Płoskiego ukazała się 19 marca, a więc w dniu imienin Józefa Piłsudskiego, w niecały rok po jego śmierci. W okresie międzywojennym dzień ten był obchodzony równie uroczyście jak święto 3 Maja, czy 11 Listopada. Opisane w artykule tatrzańskie wycieczki dla Józefa Piłsudskiego były ostatnimi, ale dla Edmunda Płoskiego były pierwszymi wycieczkami krajoznawczymi na ziemiach polskich, po jego powrocie z syberyjskiej katorgi.

Ten archiwalny artykuł przytoczę w całości z zachowaniem oryginalnej pisowni, a więc napisany takim językiem, jakiego Edmund Płoski użyłby podczas odczytu poświęconego turystycznym wycieczkom z Józefem Piłsudskim, gdyby taki odczyt odbył się wówczas we Włocławku. W poniższej edycji artykułu poprawiłem jedynie w kilku miejscach tzw. literówki oraz nie uwzględniłem zbędnych znaków typograficznych.

BIULETYN PRZEWODNICKI
123/2026

OSTATNIE WYCIECZKI TATRZAŃSKIE MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

Z osobistych wspomnień

I.

Do bogatej już skarbnicy materjałów, dotyczących życia i działalności ś. p. Marszałka J. Piłsudskiego pozwalam sobie dorzucić cegiełkę, odnoszącą się do mało znanej — o ile mi wiadomo — dziedziny Jego upodobań. Był On zapalonym miłośnikiem i znawcą Tatr, zwiedzał je często w małem towarzystwie, lub samotnie. Przeszedł je wzdłuż i wszerz po kilka razy, znał niejedno przejście górskie, ścieżki, szałasy, miejsca wypoczynków, lub noclegów i był znakomitym przewodnikiem, nawet instruktorem dla osób, które poraz pierwszy tam się znalazły.

Było to w roku 1907. W marcu tego roku, po rocznej przeszło włóczędze po wschodnich kresach Azji dotarłem do Krakowa. Po dwudziestu zgórą latach syberyjskiej „katorgi" i „posielenia" Kraków był dla mnie tem wymarzonem miastem, w którem spodziewałem się wypocząć, dojść do pewnej równowagi skołatanych nerwów i stworzyć sobie plan dalszej życiowej egzystencji. W Krakowie przebywał od kilku miesięcy dawny towarzysz wspólnej naszej sachalińskiej „katorgi" i przeszło 10 lat trwającego współżycia na tej wyspie ś. p. Bronisław Piłsudski, brat Marszałka. Bez trudu odszukałem go i przez niego poznajomiłem się z ś. p. Józefem. Znajomość ta bardzo prędko przeszła w zażyłość. Zamieszkaliśmy bardzo blisko siebie w jednym domu przy ul. Topolowej, gdzie państwo Józefowstwo zajmowali dwupokojowe mieszkanko na pierwszem piętrze, a ja ze swoją rodziną ulokowałem się nad Nimi, w takim samym lokalu na drugiem piętrze.

Nadeszły wakacje. Moja żona z synem wyjechała do Królestwa w odwiedziny do krewnych, a ja, dla którego wstęp do państwa carów był wzbroniony, opuściłem bowiem Syberję samowolnie podczas rewolucyjnych zaburzeń 1905–6 r., otrzymałem od Państwa Józefowstwa zaproszenie do spędzenia z nimi wakacyj w Zakopanem, gdzie już mieli wynajęty domek góralski u Hyca Olesiaka. Było to właściwie wówczas nie Zakopane, ale Poronin, na samem pograniczu Zakopanego, przy szosie. Z wdzięcznością i radością przyjąłem to zaproszenie, bo dotąd gór polskich nie widziałem.

W końcu czerwca zebrała się w gościnnym domu Państwa Józefowstwa, lub w najbliższem jego sąsiedztwie a w stałym niemal codziennym kontakcie, spora gromadka gości.

Było rojno i gwarno. Pan Ziuk był niezrównany w prostocie obejścia i serdeczności gospodarzem, a dla nas sachalińczyków (Bronisława i mnie) przemiłym nauczycielem w dziedzinie taternictwa. Zaofiarował się więc zgóry na przewodnika i kierownika wycieczek, które zamierzaliśmy odbyć.

Po dokonaniu kilkunastu ekskursyj do pobliskich dolin i wzgórz, zorganizowana została wycieczka do Morskiego Oka, zwykłym szlakiem przez Halę Gąsienicową, Czarny i Zmarzły Staw, Zawrat, Dolinę Pięciu Stawów i Swistówkę. Wycieczka ta, zdaje mi się, przeznaczona była głównie dla nas dwóch sachalińczyków, aby nam pokazać piękno i majestat polskich gór. Istotnie widok dzikich turni, spiętrzonych i poszarpanych skał wywarł na mnie potężne, wprost wstrząsające wrażenie. Trzeba było wspinać się przy pomocy łańcuchów i klamer. Pan Józef polecił całemu towarzystwu iść po klamrach, a sam prowadził żonę żlebem. Do pomocy i dla towarzystwa przyłączyłem się do Państwa Józefowstwa. Cóż to była za droga! Dotąd stoi mi w pamięci niesłychany wysiłek, jaki przyszło nam trojgu wykonać. Dwa – trzy kroki wgórę, a jednocześnie prawie tyleż zsuwania się wdół. Posuwaliśmy się gęsiego. Przewodnik, którym przeważnie byłem ja, jako fizycznie najsilniejszy, choć wiekiem znacznie starszy, podawał koniec ciupagi następnemu, który zahaczał za siekierkę swoją ciupagę i przy tej pomocy windował siebie – trzy metry naprzód. Trwało to strasznie długo. Dość powiedzieć, że reszta towarzystwa naszego przeszła przez klamry, na przełęczy posiliła się przekąską, zdążyła się nawet przespać zanim my dowlekliśmy się do przełęczy: zmęczeni, zziajani i wyczerpani do ostatnich granic. Reszta wycieczki odbyła się bez szczególnych przygód. Wracaliśmy na drugi dzień szosą. W powrotnej drodze Pan Józef chciał wykorzystać pewne skróty przy wirażach szosy i prowadził nas górskiemi ścieżkami przez leśne wertepy. Okazało się jednak, że przejść tych dobrze

nie znał i na jednym ze skrótów weszliśmy w gąszcze leśne; ścieżka prowadziła w kierunku wręcz nieprawdopodobnym dla naszego celu i musieliśmy kluczyć przez wyręby leśne do właściwej drogi. Dostało się też Panu Józefowi od pań za tę Jego pewność w szukaniu dróg nowych! Pociechą jednak dla nas była niesłychana obfitość malin na wyrębach co sowicie wynagradzało za nadwyżkę drogi i za zwiększony wysiłek.

II.

W lipcu miał się ku końcowi urlop pana Kazimierza, którego Ziuk żartobliwie nazywał „dyrektorem biura nieistniejących dróg szosowych" jakoże był on urzędnikiem petersburskiego biura szosowych dróg w Persji, a tych jak należało sądzić, wcale wówczas w Persji nie było. Zaczęliśmy myśleć o urządzeniu jakiej dużej, kilkudniowej, tatrzańskiej wycieczki. Szczegóły trasy obmyślał oczywiście Pan Ziuk.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy w drogę ze sporym ciężarem w plecakach. Jaką drogą szła trasa naszej wycieczki, dziś dopiero przy pomocy mapy umiem odtworzyć. Wówczas nie znałem wszak Tatr wcale, a nazwy szczytów, przełęczy, dolin utrwalały się w mym mózgu chaotycznie, bez związku z ich położeniem geograficznem. Przeszliśmy — jak pamiętam — przez Liljowe, później przez przełęcz z nadzwyczaj stromem, jak mi się wydawało, zejściem wdół (Zawory). Nigdy potem w tych stronach Tatr nie byłem. Na grani opanował nowicjuszów tatrzańskich, zwłaszcza damy, paniczny strach. Zbocze obficie porośnięte trawą, z której gdzieniegdzie sterczały drobne kamienie, było tak strome, że zejście możliweby było tylko zakosami; ścieżki zaś wówczas wcale widać nie było. Panie zażądały powrotu i cała wycieczka mogła się w ten sposób rozwiać. Tymczasem nadeszło zdołu jakieś towarzystwo z przewodnikiem góralem, który wskazał kierunek nieuchwytnych dla naszego wzroku zakosów ścieżki i Pan Józef bardzo powoli i ostrożnie pomógł paniom zejść po stromem zboczu wdół. Dalsza droga była łatwa i przygód w tym dniu nie doznaliśmy żadnych. Popołudniu doszliśmy do szałasu w Ciemnych Smreczynach. Zastaliśmy tam dwóch malarzy, którzy gotowali farby, a potem w tych samych blaszankach parowali sobie herbatę. Musiała być bardzo smaczna! Mieliśmy lepsze naczynia i obfitsze zapasy, zaprosiliśmy więc panów malarzy do naszej uczty. Tu według rozkazu mieliśmy nocować, ale trudności wyłoniły się poważne co do rozmieszczenia naszych sił zbrojnych: szałas miał wprawdzie coś w rodzaju paleniska, o ciepłotę więc podczas nocy nie było obawy, ale był on jak na nasze liczne towarzystwo za szczupły. Trzeba było nielada wysiłku „geometrycznego", aby wykreślić dla każdego miejsce do leżenia.

Na drugi dzień po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Przypadek zarządził, że ja znalazłem się na czele naszego szeregu, ciągnącego się „gęsiego". Za mną szedł Ziuk i kilkakrotnie mi przypominał, że za jakie sto czy dwieście metrów ścieżka ma się rozwidlać i trzeba iść prosto — czy też na lewo. Ale ścieżka była niewyraźna, rozwidlenie przeoczyłem i ja i Ziuk, weszliśmy więc w jakieś zarośla trudne do przebycia; oczywiście zbłądziliśmy. Dostała mi się spora bura za nieuwagę. Ziuk jednak wziął mię energicznie w obronę, jako że przecież kwalifikacyj na przewodnika nie miałem. Ponieważ ścieżka nasza miała iść równolegle do wznoszącego się na prawo od nas masywu Hrubego Wierchu, poszliśmy naprzełaj i po dość dużym wysiłku, przerzynaniu się przez gąszcze dotarliśmy do właściwej ścieżki.

Następny nocleg mieliśmy wspaniały: w domu wycieczkowym nad Jeziorem Szczyrbskiem. Spędziliśmy tam cały dzień i noc następną, wypoczywając i odbywając krótkie spacery w różne strony. Późnym wieczorem, po przebyciu paru dolin, kołowaniu po leśnych wertepach, spowodowanem nieznajomością drogi, dotarliśmy szczęśliwie do Śląskiego Domu na południowem zboczu Garłucha. Znaleźliśmy tam doskonały nocleg, mimo iż gości było sporo.

Na drugi dzień wczesnym rankiem rozpoczęliśmy powrót przez Polski Grzebień. Wejście nadzwyczaj łatwe, szeroka ścieżka wymoszczona płytami kamiennemi niemal jak trotuar. A tymczasem na przełęczy Pan Józef nagle zasłabł: bicie serca, osłabienie tak silne, że musieliśmy zatrzymać się na dłuższy wypoczynek. Stopniowo objawy sercowe znikły, plecak Pana Józefa wziąłem ja na siebie i ruszyliśmy dalej, dolinami Świstową i Białej Wody do Wodogrzmotów Mickiewicza. W drodze tej spotkaliśmy tylko strażnika leśnego, Polaka, jak sądzić należało z jego mowy, ale uważającego siebie za Węgra: „Jo jest Węgier, a nie Polak". Zaalarmował on nas wiadomością, że w parku Hohenloego, przez który właśnie szła nasza droga, chodzą niedźwiedzie. Ale spotkania nie było. Zresztą i strachu wielkiego nie mieliśmy.

Była to już ostatnia piesza wycieczka górska Pana Józefa. Pamiętał o niej długo i lubił wracać wspomnieniami do naszych przygód w tej wyprawie.

Przeszło parę lat. W roku 1909 czy 1910, podczas wakacyj, odwiedziłem na parę dni Państwa Józefowstwa w ich dawnej letniej siedzibie w domu Hyca Olesiaka. Pan Józef zaproponował wycieczkę do Morskiego Oka, ale już tylko furką. Stan jego serca na pieszą wycieczkę nie pozwalał. W rok później (o ile pamięć mnie nie myli) choroba serca zwaliła Go z nóg. Odwiedziłem Go w jego mieszkaniu przy ulicy Szlak. Stan zdrowia był bardzo ciężki, nawet niebezpieczny. Lekarze podejrzewali zwyrodnienie mięśnia sercowego; na szczęście mylili się. Pani Józefowa, która sama jedna pielęgnowała Chorego, posiłkując się tylko przychodnią służącą do pomocy w gospodarstwie, poprosiła mię o pomoc w przeniesieniu chorego na otomanę, aby poprawić Mu pościel na łóżku. Pan Józef, opierając się na mnie, zrobił kilka kroków w kierunku otomany, pot kroplisty wystąpił Mu na czoło, ciężko się zadyszał od tego w gruncie lekkiego wysiłku. „Widzicie" — odezwał się z humorem — „nie myślałem, że to taka ciężka wycieczka. A cięższa, niż ta na Polski Grzebień".

Edmund Płoski

em. prezes Sądu Okręgowego

Chałupa, w której latem 1907 r. mieszkali Józef Piłsudski i Edmund Płoski, należała do Tomka Chyca Olesiaka (E. Płoski w swoim artykule błędnie napisał — Hyca Olesiaka). Znajdowała się ona na skraju Zakopanego, przy tak zwanej Drodze do Poronina nr 197. […] *Była to drewniana chata góralska zbudowana w 1900 roku, składała się z dwóch izb, sieni, spiżarki i ganku wynajmowanych gościom oraz kuchni z osobnym wejściem, w której mieszkali gospodarze. Obok znajdowały się zabudowania gospodarcze i studnia. Dom usytuowany był z dala od centrum, w rolniczej dzielnicy Zakopanego. W porównaniu z ówczesnymi pensjonatami warunki tu były bardzo skromne. Piłsudski był jednak osobą mało wrażliwą na niewygody dnia codziennego, a sprawy bytowe leżały poza jego bezpośrednimi zainteresowaniami. Zalety tej chaty stanowiły zaś niska cena oraz spokój potrzebny do wypoczynku, prowadzenia prac badawczych i pisania artykułów* […]. Józef Piłsudski podczas swoich licznych pobytów w Zakopanem mieszkał w różnych miejscach. Jednak w latach 1906–1912 gościł przede wszystkim w chacie Tomka Chyca Olesiaka.

W skład towarzystwa opisanego w „Ostatnich wycieczkach tatrzańskich Marszałka Piłsudskiego" wchodzili państwo Józefostwo, czyli Józef Piłsudski i jego żona Maria — zwana „Ziukową", dwaj sachalińczycy, czyli Bronisław Piłsudski i Edmund Płoski, pan Kazimierz, którego nazwiska nie znamy, oraz inne nie wymienione przez autora artykułu osoby. Z innych źródeł wiemy, że wówczas w Zakopanem była również towarzyszka Bronisława Piłsudskiego, Maria, którą dla odróżnienia nazywano „Maruteńką" lub „Martuchną". Ta Bronisławowa „Maruteńka" nie była jego formalną żoną. Była to jego sympatia z lat gimnazjalnych — Maria Baniewicz, która od wielu lat była już żoną petersburskiego urzędnika Jana Żarnowskiego. Po powrocie z zesłania Bronisław nawiązał z nią kontakt korespondencyjny i młodzieńcza miłość odżyła na nowo. W hotelach meldował ją jako swoją żonę. Był wówczas w Zakopanem jeszcze jeden Piłsudski – Jan, młodszy brat Bronisława i Józefa. Jan Piłsudski był z żoną, która miała na imię także Maria. Dla odróżnienia ona była nazywana „Marysią" lub „Marysieńką".

Edmund Płoski z rodziny Piłsudskich najlepiej znał Bronisława Piłsudskiego. Poznał go w 1887 r. w więzieniu aleksandrowskim na Sachalinie i tam się zaprzyjaźnili. Józefa Piłsudskiego Edmund Płoski poznał osobiście w 1907 r. w Krakowie, ale Józef Piłsudski o nim słyszał już dużo wcześniej od swojej żony Marii, z którą Edmund Płoski i jego żona Maria Zofia z domu Onufrowicz działali wspólnie podczas studiów w Petersburgu, na przełomie lat 70. i 80. XIX w. w tzw. Gminie Polskiej. Józef Piłsudski czytał o Edmundzie Płoskim także w listach pisanych przez Bronisława Piłsudskiego z Sachalinu. W swoich niepublikowanych dotychczas w Polsce wspomnieniach Edmund Płoski tak scharakteryzował dwóch najstarszych braci Piłsudskich: *O sobie Bronisław mówił, iż był chłopcem spokojnym, cichym, nigdy nie szalał w swych dziecinnych igrach, nie miał pociągu do wykazywania swej siły, ani do narzucania swej woli innym dzieciom — rówieśnikom. Raczej przeciwnie, ulegał on sugestii innych i oddawał się pod ich komendę. To też ze wszystkimi, zwłaszcza ze służbą, był zawsze w zgodzie. Komendę zaś trzymał i ustawiczny hałas w domu czynił jego młodszy brat Józef, żywy, ruchliwy i wiecznie psocący. To też ciągle w domu odzywały się nawoływania do niego kierowane i słowo „Juziuk" rozlegało się to tu, to ówdzie bardzo często. Przez skróty z „Juziuka" został tylko okrzyk „Ziuk" — i ten przydomek przetrwał jego dzieciństwo, młodość i wiek dojrzały. Gdym po raz ostatni odwiedził go w Sulejówku, w kwietniu 1924 roku, przekonałem się, że w tym już bliskim starości wieku, nie było mu przyjemnym*

przypominanie mu tego dziecinnego przydomka. Nic dziwnego. Wówczas już był wielkim w opinii całego otoczenia i ta opinia zasugestionowała i jego. Bronisław był zupełnym przeciwieństwem swego młodszego brata. Nie dążył do panowania, narzucania swej woli, wolał ulegać innym. Charakter iście kobiecy. To też i w późniejszym życiu potrzebował zawsze czyjegoś poparcia, czyjejś pomocy, za co płacił sowicie swą prostotą, szczerością, braterskim uczuciem.

Spotkanie na tatrzańskim szlaku strażnika leśnego mówiącego po polsku, ale uważającego się za Węgra, nie było w tamtych czasach czymś nadzwyczajnym. Tatry wówczas leżały na terenie monarchii austro-węgierskiej. Północna część Tatr należała do Królestwa Galicji (wchodzącego w skład austriackiej części monarchii austro-węgierskiej), a południowa część Tatr należała do Królestwa Węgier (wchodzącego w skład węgierskiej części tej monarchii). *Nie kończą się wszakże Tatry* — pisał w 1909 r. Mariusz Zaruski — *na granicy węgierskiej, która biegnie graniami i obejmuje z trzech stron klin polskiej ziemi, należący do Galicji. Węgierskie Tatry stanowią nierozerwalną całość z polskimi, a ponieważ granica istnieje tylko na papierze, Tatry dostępne są dla turystów tak z jednej jak i z drugiej strony. Więc od Morskiego Oka idą turyści przez Rysy do stawu Popradzkiego na stronę węgierską — skąd blisko już do Szczyrbskiego jeziora: przez Kościeliską dolinę, przełęcz Tomanową i doliną Cichą do Pod Bańskiej, a stamtąd na szczyt Krywania (2.596 m.); przez Polski grzebień do doliny Wielickiej i na szczyt Garłucha (2.663 m.) najwyższy w Tatrach…*". Szczyt Garłuch — Edmund Płoski także używa tego określenia w swoim artykule — to jest dzisiejszy Gierlach. Obecnie jego wysokość jest ustalona na 2655 m n.p.m. Na pocz. XX w. położenie przełęczy Polski Grzebień było określane na 2208 m n.p.m., dziś jest to wartość o 8 m niższa. Zarówno Gierlach, jak i Polski Grzebień znajdują się obecnie na terenie Słowacji.

Wspomniany przez Edmunda Płoskiego niejaki „Hohenloe", właściwie nazywał się Christian Hohenlohe. Był to książę pruski, który wykupywał od górali tereny tatrzańskie, głównie w granicach węgierskich. Z czasem zaczął zapuszczać się także na stronę galicyjską, gdzie taką samą działalność prowadził polski hrabia Władysław Zamoyski. Doszło pomiędzy nimi do konfliktu o Morskie Oko. Książę Christian Hohenlohe, mając poparcie rządu węgierskiego, postawił słupy graniczne pomiędzy Węgrami a Galicją nad Morskim Okiem, dzieląc je na pół. Kilkunastoletni proces sądowy wygrał w 1902 r. Władysław Zamoyski i całe Morskie Oko pozostało w granicach Galicji. Nie od razu wyrok sądu został jednak zaakceptowany i być może dlatego węgierski strażnik leśny postraszył niedźwiedziami polskich turystów, chodzących po dobrach należących do Christiana Hohenlohego.

Już w tytule swojego artykułu Edmund Płoski zaznacza, że opisuje ostatnie wycieczki tatrzańskie marszałka Piłsudskiego. A więc były też i wycieczki wcześniejsze. Józef Piłsudski do Zakopanego przyjeżdżał od 1901 r. Tu się leczył, tu pracował w ciszy i spokoju, tu spotykał się ze swoimi towarzyszami partyjnymi i przygotowywał plany działania na przyszłość. Według Edmunda Płoskiego, w wolnych chwilach, Józef Piłsudski także: *był zapalonym taternikiem i, jak sam o sobie mówił — znawcą nie tyle szczytów, co przełęczy, w których orientował się znakomicie.*

Niestety nikt tych wcześniejszych wycieczek nie opisał, albo też opisy te nie zachowały się do naszych czasów. Jedyny ślad tych wcześniejszych wycieczek Józefa Piłsudskiego pojawił się tylko we wspomnieniach Władysława Sieroszewskiego. Był on synem Wacława Sieroszewskiego, działacza socjalistycznego, więźnia Cytadeli Warszawskiej i zesłańca syberyjskiego, później autora prac etnograficznych i licznych dzieł literackich. W swoich niepublikowanych wspomnieniach Władysław Sieroszewski wielokrotnie opisuje bezpośrednie kontakty z przyszłym Marszałkiem, w tym te z dzieciństwa. Już jako kilkuletni chłopiec towarzyszył swojemu ojcu podczas jego spotkań z Józefem Piłsudskim. Jedną z wizyt, złożoną właśnie w chacie Tomka Chyca Olesiaka, opisał tak:

Pewnego przedpołudnia Tatuś zabrał mnie i Staśka na pożegnalną wizytę do Piłsudskich. Mieszkali oni wówczas daleko na drodze do Poronina, gdzieś w okolicy Ustupu czy Harendy w dość nędznej chacie góralskiej. Tatuś z Piłsudskim chodzili po maleńkim ogródku żywo o czymś rozmawiając. P. Piłsudska starała się nas emablować, ale onieśmieleni jak zwykle majestatyczną jej postawą woleliśmy się wymknąć nad pobliski potok Zakopiankę (…) i tam z zapałem puszczaliśmy „kaczki".

Dziewięcioletni Władysław Sieroszewski, w towarzystwie matki, od 1909 r. zaczął chodzić również na tatrzańskie wycieczki. Po ponad 50 latach opisał wycieczkę, podczas której natknęli się na ślad pobytu Józefa Piłsudskiego i jego współtowarzyszy na tatrzańskim szlaku:

Przy Czarnym Stawie, nad progiem, tam gdzie obecnie górale sprzedają turystom śmietanę, stał drewniany, niezagospodarowany szałas. Nie miał pieca, ale wypalony ślad na ziemi wskazywał miejsce na watrę. Składał się z dwóch komórek. Zewnętrznej, gdzie znajdował się długi stół i dwie wzdłuż niego przymocowane ławy i wewnętrznej, gdzie można sobie było z kosówki umościć legowisko. Stół cały, a częściowo ławy i ściany pokryte były nazwiskami turystów. Pomiędzy nimi Mamusia odnalazła imiona „Bronisław" (Montwiłł–Mirecki), „Mieczysław" (Piłsudski) i „Gustaw" (Sławek). Byli tam jesienią 1906. Szałas ten odnalazłem jeszcze i nocowałem w nim podczas pomaturalnej wycieczki w 1919 r. i odnalazłem te na wpół zatarte napisy. Wkrótce potem szałas spalił się.

Józef Mirecki — ps. „Montwiłł", „Bronisław", „Grzegorz" i Walery Sławek — ps. „Gustaw" byli współtowarzyszami partyjnymi Józefa Piłsudskiego z Polskiej Partii Socjalistycznej — Frakcji Rewolucyjnej. Gdy Władysław Sieroszewski w 1909 r. czytał wycięte w drewnie pseudonimy, Józef Mirecki już nie żył. W 1908 r. został stracony przez Rosjan na stokach Cytadeli Warszawskiej. W przededniu I wojny światowej Zakopane było bardzo ważnym ośrodkiem przygotowań polskich struktur wojskowych do zbliżającej się walki o niepodległość Polski. Józef Piłsudski dążył do integracji szeroko rozumianego obozu niepodległościowego ze wszystkich trzech zaborów. Zakopane było bezpiecznym miejscem do takiej działalności, bowiem polscy irredentyści współpracujący z Józefem Piłsudskim za głównego wroga uważali carską Rosję, co było zbieżne z interesami Austro–Węgier. W 1938 r. Edmund Płoski zapisał, że z tamtych lat: *Utkwiły mi w pamięci prorocze zaiste słowa śp. Józefa, iż wojna to będzie taka, że „z obu gryzących się psów tylko ogony pozostaną. Wówczas i my coś będziemy znaczyli, a na razie trzeba tylko trwać i jak najmniej tracić ludzi*".

Wspomnienia Władysława Sieroszewskiego przytoczyłem nieprzypadkowo. Okazuje się bowiem, że bywał on wielokrotnie we Włocławku. Rodzina Sieroszewskich od roku 1916 do końca okresu międzywojennego często spędzała wakacje w położonych o kilka kilometrów od Włocławka Chełmicy Wielkiej (dziś to Chełmica Duża) lub w Fabijankach (dziś to Fabianki) w majątku należącym do Pauliny Kleszczyńskiej. Prowadziła ona tam tzw. „salon artystyczny". W jej majątku, oprócz rodziny Sieroszewskich, gościli także m.in.: Artur Rubinstein, Tadeusz Miciński, Franciszek Fiszer czy Jan Rembowski. Paulinę Kleszczyńską warto wspomnieć jeszcze z jednego powodu. Na Wigilii w 1916 r., którą Józef Piłsudski spędził wspólnie z rodziną Sieroszewskich w Warszawie, znalazły się przysłane właśnie przez nią ryby.

Edmund Płoski i Wacław Sieroszewski byli także starymi znajomymi. Nie udało mi się dotychczas ustalić, kiedy poznali się osobiście, ale można przyjąć, że ze słyszenia znali się już w końcowych latach XIX w. Nie mogło być chyba inaczej, skoro stryjeczny brat Wacława Sieroszewskiego, Adam, był skazany w tym samym procesie co E. Płoski i obaj odbywali katorgę na Sachalinie. Adam Sieroszewski pomagał Edmundowi Płoskiemu budować tam dom. Później mieszkał w nim wraz ze swoją żoną Marią, która była rodzoną siostrą Wacława. W 1903 r. Wacław Sieroszewski odwiedził na Sachalinie Adama, ale wówczas Edmund Płoski mieszkał już na terenie kontynentalnej Rosji w Błagowieszczeńsku. Możemy przyjąć z całą pewnością, że osobiście poznali się najpóźniej w 1907 r. Obaj panowie utrzymywali ze sobą kontakt także we Włocławku w czasie, gdy Edmund Płoski pełnił tam funkcję prezesa Sądu Okręgowego. Nie można wykluczyć, że znali się osobiście także dwaj przyszli autorzy wspomnień o tatrzańskich wycieczkach Marszałka Piłsudskiego: Edmund Płoski i późniejszy prawnik Władysław Sieroszewski, ale póki co, dowodu na to nie znalazłem.

Artykuł Edmunda Płoskiego „Ostatnie wycieczki tatrzańskie Marszałka Piłsudskiego", opublikowany w 1936 r., wpisał się w apogeum kultu Józefa Piłsudskiego, jaki zapanował po jego śmierci. W tym samym roku artysta malarz Zygmunt Sowa–Sowiński dopatrzył się w zarysie górującego nad Zakopanem Giewontu profilu Józefa Piłsudskiego. Stworzył grafikę „Giewont jako podobizna Józefa Piłsudskiego", która nawiązywała do legendy o śpiących rycerzach zaklętych w kamień. Grafika ta została wydana w wersji pocztówkowej, co przyczyniło się do jej wielkiej popularności i stała się skutecznym sposobem propagowania idei uznania zasług Józefa Piłsudskiego. Edmund Płoski dołożył do tego swój mały kamyczek.

Śladami Edmunda Płoskiego wędrował Wojciech Henrykowski



Tatry. Zmarzły Staw z Małą Wysoką i Polskim Grzebieniem w dolinie Podupłaskiej — pocztówka z 1902 r. z napisami w językach niemieckim, węgierskim i polskim, ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie



Na szczycie Giewontu w kamień zaklęty… — pocztówka z 1936 r. opracowana na podstawie grafiki Zygmunta Sowy-Sowińskiego, ze zbiorów Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Bibliografia

Archiwalia

Płoski E., *Wspomnienia o Bronisławie Piłsudskim*, Biblioteka Narodowa w Warszawie, sygn.: Rps 18607 IV.
Sieroszewski W., *Wspomnienia, cz. 1, lata 1900–1914*, Biblioteka Ossolińskich we Wrocławiu, sygn. Rkp 14140/II.

Publikacje

Ciesielska B., *Salony Pauliny Kleszczyńskiej w Chełmicy Wielkiej*, „Rocznik Dobrzyński", tom XII, Rypin 2019.
Dall L., *Józef Piłsudski w Zakopanem w latach 1901–1922*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2019.
Jankowski R., *Sędziowie Rzeczypospolitej, Sądownictwo włocławskie*, tom II, EXPOL, P. Rybiński, J. Dąbek, Sp. J., Kulin 2019.
Krzywicki L., *Wspomnienia,* t. III, tekst ustalili, przygotowali do druku i opatrzyli przypisami Wanda Jedlicka i Janusz Wilhelmi, Czytelnik, Warszawa 1959.
Płoski E., *Ostatnie wycieczki tatrzańskie Marszałka Piłsudskiego,* „Czas", nr 78, 19 marca 1936 r.
Płoski E., *Edmund Płoski, proletariatczyk i nacjonalista*, „Merkuryusz Polski Ordynaryjny", nr 59–60, 18–25 grudnia 1938.
Sieroszewski A., *Wacława Sieroszewskiego żywot niespokojny*, z rękopisu wydał, opracował i uzupełnił Andrzej Z. Makowiecki, Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2015.
Sławiński T., Ziółkowski B., *Płoski Edmund Walenty*, w: „Włocławski Słownik Biograficzny" pod red. S. Kunikowskiego, t. II, LEGA Oficyna Wydawnicza Włocławskiego Towarzystwa Naukowego, Włocławek 2005.
Zakopane, 1909, nakładem Komisyi klimatycznej w Zakopanem, Kraków 1909.

Netografia

http://mbc.malopolska.pl/dlibra/docmetadata?id=52084&from=publication [dostęp 2023.08.13].
https://archiwum.pan.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=310:spor-o-morskie-oko&catid=26&Itemid=169 [dostęp 2023.08.13].
https://polona.pl/item-view/f68a6fcb-9d02-45bd-9815-88e6241a57d9?page=0 [dostęp 2023.08.13].
https://www.historiaposzukaj.pl/wiedza,obrazy,790,obraz_giewont.html [dostęp 2023.08.13].

Ilustracje

Tatry. Zmarzły Staw z Małą Wysoką i Polskim Grzebieniem w dolinie Podupłaskiej — pocztówka z 1902 r., ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie.
Na szczycie Giewontu w kamień zaklęty… — pocztówka z 1936 r., ze zbiorów Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.